

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.



Na łące.

— Wstaniem jutro bardzo rano bardzo rano —
[rzekły dzieci,
Ledwo wszędzie złote słonko, ledwo wszędzie
[i zaświeci.
Bo musimy pójść na łąkę, pójść na łąkę grabić
[siano.
Więc wstać trzeba wraz ze słonkiem, wraz ze
[słonkiem bardzo rano!

— Bo na łące już skoszona, już skoszona świeża
[trawa..
Oj! byłż tam od kosiarzy, od kosiarzy ruch
[i wrzawa!
Oj! dźwięczały tam kosiska, i dźwięczały i błysz-
[czały,
Aż ułożył się im do stóp, do stóp wouny pokos
[cały!

— Ale chmury już nań dybią, już nań dybią te
[szkarady,
Trzeba zgrabic i zwieźć żywo, żywo! niema innej
[rady.
Ojciec mówi: — ręk mu braknie, ręk mu braknie
[do tej pracy..
Alboż my to ręk nie mamy? Alboż my to jacy
[tacy?

* * *

Oj! rozkosznie tu na łące, wśród tej woni, tej
[zieleni!..
— Cóż to? siedzisz mością pauno? mością panna
[już się leni?
Ej! zagrzebie cię w tem cianie, wstawaj zaraz
[mi do pracy!
Alboż my to sił nie mamy? Alboż my to jacy
[tacy?
J. B.

Z DZIEJÓW CYWILIZACJI.

DRUKARSTWO.

(Dokończenie).

W r. 1478 miał drukarnię w Neapolu Jan Adam z Polski; w latach 1492—1495 Stanisław z Polski (Lanzolao de Polonia) w Sewilli, gdzie też istniała w tymże czasie i druga drukarnia Stefana Polaka. W kraju, Kraków, ówczesna stolica, zasłynął przed innemi szerokim rozwojem sztuki drukarskiej. Pierwszą stałą drukarnię otworzył tam na końcu XV i początku XVI w. Jan Haller; tuż po niej powstały drukarnie Wietora i Unglera, tak zwane architypografie Łazarzów i Piotrkowczyków, Wierzbiety, Siebeneychera, Garwolczyka, Szarfenberga Mikołaja i Szarfenberga Stanisława, wszystkie w w. XVI. W wieku XVII słynęła w Krakowie oficyna Cezarych, oraz drukarnia akademii Zamojskiej w Zamościu, jak niemniej drukarnia dysydencka w Rakowie. W Warszawie dopiero w XVIII w. drukarstwo szerszego nabrało rozwoju i rozgłosu; odznaczały się w niej przedewszystkiem drukarnie pijarskie, stanowczy zaś popęd drukarniom warszawskim nadał hr. Mostowski, który w r. 1802 znacznym nakładem wzorową jak na owe czasy drukarnię założył, i w niej znany powszechnie wybór pisarzy polskich wydawać począł. Pierwszą prasę hydrauliczną, używaną naówczas zaledwie w kilku drukarniach w Europie, zaprowadził Gałęzowski w drukarni Banku polskiego, którą od r. 1827 zarządzał; pierwsza zaś machina parowa zastosowana do ruchu drukarni, ukazała się w drukarni, Samuela Orgelbranda.

Teraz z kolei wypada nam przejść do rozmaitych przyrządów i sposobów używanych do drukowania.

Druk czcionkami ruchomymi odbywa się za pomocą liter oddzielnych, które łączyć trzeba w ten sposób, aby z nich kolejno składały się wyrazy, wiersze, a nareszcie stronnice.

Materyał używany na czcionki jest mieszaniną 80 części ołowiu z 20 częściami antymonu. Przez dodanie tego ostatniego kruszcu do ołowiu, czcionki zyskują twardość potrzebną do wytrzymania ciśnienia prasy.

Czcionki otrzymuje się, lejąc roztopioną powyższą mieszaninę w formę, tworzącą pewien rodzaj małego podłużnego kanału. Na dnie tego kanału umieszcza się matrycę, odtwarzającą wiernie głoskę, wrytą wklęsłe przez rytownika, który pierwotny typ tej głoski wyrzyna na stali. Z jednej takiej głoski wyciętej przez rytownika, można zdjąć mnóstwo matryce, a matryce te pomieszczone na dnie kanałków, mogą giserowi czcionek wielkiej ilości głosek dostarczyć.

Czcionka dostarczona przez gisera składa się z dwóch części: 1) z głoski samej, 2) z trzonu w kształcie równoległościannu, na którym głoska ta jest przytwierdzona, a który ułatwia mechanicznie robotnikowi drukarskiemu czyli składowi (zecerowi) ujęcie jej podczas składania.

Z giserni przechodzą czcionki do drukarni, gdzie rozmieszczają je w tak zwanych *kasztach*, czyli skrzynkach płaskich, otwartych, na różne przegródki podzielonych.

W celu łączenia głosek w wyrazy, składacz używa małego narzędzia żelaznego, zwanego *winkielakiem*, na którym umieszcza z kolei litery, mające utworzyć wyrazy wycytane z rękopisu. Narzędzie to składa się z linii metalowej, po której porusza się rodzaj węgielnicy, suwający się wzdłuż jednego z jej brzegów. Odpowiednio przyrządzona śruba, pozwala utwierdzić węgielnicę, gdy składacz złoży wiersz żądanej długości. Gdy pierwszy wiersz zostanie złożony, przykładą się do niego linię metalową, zwaną *interlinią*, przeznaczoną do utworzenia żądanego odstępów między wierszami. Następnie składa się wiersz drugi, trzeci i tak dalej, rozdzielając je podobnemi liniami.

Składacz może złożyć dziennie dziesięć tysięcy liter a obliczono, że przez trzysta dni w roku, prawa ręka składacza przebiega w przecięciu tysiąc trzysta mil francuskich. Gdy się winkielak napełni, zdejmuje się z niego wiersze, ściskając je palcem wielkim i wskazującym i przenosi się je na *szufelkę*, to jest niewielką deskę kwadratową, której róg dolny opatrzony jest w listwę w kształcie węgielnicy.

Kiedy na szufli uzbiera się pewna liczba wierszy, robi się z nich *szpaltę*. Jeśli rękopis składany jest większych rozmiarów, złożone wiersze układają się w kolumny czyli stronnice, które się umieszcza na stole zwanym *fundamentem*, w takim porządku, aby na arkuszu papieru, na którym się mają odbijać, wyszły w kolejnym po sobie następstwie. Wszystko to razem ściska się w *ramy* żelazne.

Gdy formy są gotowe, pozostaje już tylko odbić je na papierze. Począwszy od chwili wynalezienia druku aż po wiek dzisiejszy, drukowano wyłącznie za pomocą *prasy ręcznej*. Dziś atoli druk czyli odbijanie odbywa się za pomocą *pras mechanicznych* czyli *pospiesznych*, które w znaczniejszych zakładach drukarskich maszyną parową bywają poruszane.

Gdy forma umieszczoną zostanie na stole poziomym, preser czyli odbijacz powleka ją czernidłem za pomocą walcika elastycznego. Umieściwszy papier, namoczony poprzednio, na ramie i spuściwszy na nią powyżej umieszczoną ażurową ramę, która służy do przytrzymania papieru i do ochronienia go od zwałania w miejscach, które nie mają być zadrukowane, złożone w ten sposób ramy spuszcza się na formę, która za pomocą korby wsuwa się pod płytę i tę naciska się za pomocą dźwózka. Przez to naciśnięcie arkusz zostaje wydrukowany, odbity. Obracając korbą w stronę przeciwną, wysuwa się formę z pod płyty, nakłada się nowy papier i tak dalej.

Obecnie wszystkie większe drukarnie używają wielkich pras mechanicznych, poruszanych, jak powiedzieliśmy wyżej, siłą pary lub elektryczności. Zasada pozostała ta sama, tylko ludzi zastępuje maszyna, działająca z daleko większym pośpiechem.

W roku bieżącym robiono próby drukowania za pomocą promieni Roentgena, które przechodzą przez niektóre ciała np. drzewo, papier, ciało ludzkie, a nie przenikają kości, metalów i t. d. ale były to jeszcze pierwsze próby, z których trudno na razie spodziewać się praktycznych skutków.

Zofia Urbanowska.

ROŻA BEZ KOLCÓW.

Opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej.

(Dalszy ciąg).

— Co za czarujący krajobraz pan malujesz — odezwał się Walter — szkoda, że już nie istnieje. Z rozkoszą zjadłbym w tej chwili świeżą figę, lub kawałek owocu chlebowego. Gdyby istnieli już wtedy tatrzańscy górale, nie mogliby śpiewać:

„Oj biedna, biedna, ta nasza kraina,
Gdzie chleb się kończy a skala zaczyna.”

— Morze zatokami wdzierało się na ląd, pokrywało lasy warstwami zwiru, to znów cofało się, a ziemia ponownie zieleniła się od roślin. Jak długo to trwało, tego nawet profesor Strand nie umiałby nam powiedzieć. Wresz-

ie. pod wpływem potężnej, poziomo działającej siły, wyiętrzały się szczyty i turnie tatrzańskie. Były one wyższe iż są dzisiaj, ale wody i wiatry wyrzeźbiły dzisiejsze grzenie, maczugi i iglice.

— Jest zatem nowy akt w pańskiej tragedii? A jakież były dekoracje?

— Krajobraz roślinny ówczesnych Tatr, przypominał przegi dzisiejsze morza Śródziemnego, lub Japonię. Lasy drzew zawsze zielonych, pośród których przeważały liczne wawrzyny; kasztany, dęby, anony, pokrywały stoki gór. Brzegi rzek i jeziora, porastały topole i klony: wśród nich występuje pospolity wówczas wszędzie Glyptostrobus, podobny do cyprysu. Zjawiają się z dalekiej północy przybyłe lipy, o liściach szerokich.

— A gdzie są sagowce i palmy?

— Cofnęły się na południowe stoki Karpat; znikły paprocie drzewiaste, a rośliny wymagające klimatu zwrotnikowego, cofnęły się ku równikowi, wygnane przez zimno.

— Zimno zjawiało się niby Anioł wypędzający Adama z raju — odezwał się Walter — ale opowiedz pan, proszę, jak się to stało!

— Karta świata wyglądała wtedy inaczej, niż dziś. Był wśród mórz południowej półkuli, olbrzymi ląd obejmujący część dzisiejszej Brazylii, przez Atlantyk, Afrykę, Afganistan i Indye, sięgający do Australii. Był pokryty siecią olbrzymich jezior i rzeźbą wysokich gór; na górach tych rodziły się lodowce. Na północnej zaś półkuli, gdzie dziś Europa, całe szeregi wysp i wysepek się stały, pomiędzy niemi Pratatry. Dziwna godzina wtedy przyszła na ziemię, jakby słońce zaczęło wstrzymywać żar swój. Z gór tego dalekiego lądu, lodowce zaczęły spływać ku dolinom parnym, a wraz z zimnem cała armia przewrotu, cały nieprzeliczony orszak roślin chłodnego klimatu, wypierając dotychczasowych mieszkańców. Rozpoczęła się głucho walka dwu żywiołów o pieczę ziemi. Prastare sygilary i kordaity wygrzywane zimnem, wypierane przez żołnierzy nowej armii, ustępowały, bo zdobywcy raz zdobytej ziemi już nie oddawały, jak to dziś czynią smereki, co wygrzyzają rozłożyste buki na Reglach.

— Znow zmieniana dekoracyi — wtrącił Warburton.

— O, nawet bardzo znaczna. Zalesione dziś Regle były zapewne pokryte drobną roślinnością turni dzisiejszych, wśród której porosty skalne pierwszorzędnie zajmują miejsce. Karłowate brzozy i wierzby, kępy różanecznika, poduszki łomikamieni, lasy modrzewi sybirskich, sosen, limb i brzóz, przetrwały tę chłodną epokę.

Cygaro zgąsło opowiadającemu, wyciągnął rękę po zapalke.

— Czy już koniec? — zapytał Warburton.

— Prawie: jeszcze kilka słów zamiast epilogu i jeszcze jedna zmiana dekoracyi. Lodowce zniknęły, następuje emigracya roślin z południa i północy; zajmują one puste poprzednio łoża lodowców, pokrywają lasami Regle, nizka wegetacya alpejska pokrywa turnie. W walce o byt z nowymi przybyszami, ze zmienionemi warunkami klimatu, giną zwolna dawniejsi obywatele roślinni Tatr; wymiera modrzew, cis, różanecznik, wreszcie zjawia się człowiek, aby swym wpływem, rolnictwem i hodowlą była, jeszcze bardziej zmienić kwiecistą szatę gór naszych. Jakże, czy panów zajęło opowiadanie?

— Bardzo — zawołali wszyscy jednogłośnie — zasłużył pan na szczery poklask.

I baronet pierwszy w dłoń uderzył, a za nim wszyscy, i przez chwilę brzmiał odgłos oklasków w całej dolinie, jakby w sali teatralnej, a gdy ustały, Jakób rzekł jeszcze:

— Wieki miną i Tatry znikną znowu, jak zniknęły olbrzymie Kaledońskie góry lodowcami bramowane, sięgające ze Szkocyi do Norwegii, jak góry Armorykańskie w Bretanii a Waryjskie w Niemczech, jak moc innych gór.

— Zamilknij proroku złowieszczy — zawołał z przesadą Witold — i nie przeszkadzaj nam cieszyć się dzisie-

szą Tatr pięknnością, fantazyą tatrzańską i pieśniami zbójcejkami.

— Zrobiłem naprędce ilustracyę do opowiadania pana Jakóba. Jeżeli chcecie ją obejrzeć, to proszę.

I podał swój notatnik z naszkicowanemi efektownie dwoma krajobrazami przedpotopowemi. Chwalili je wszyscy i podziwiali, a notatnik kolejno z rąk do rąk przechodził. Henryk, na którym stara baśń wielkie uczyniła wrażenie, zbliżył się do profesora i zapytał:

— Proszę pana, w całej tej sprawie jednej rzeczy nie rozumiem: Wspomnił pan, że czerwony kolor ziemi nad stawem Smereczyńskim, wprowadził pana wczoraj jeszcze na domysł, że tam znajdować się może prastare cmentarzysko. Co za znaczenie tu ma taki lub inny kolor ziemi?

— Czerwony ten kolor pochodzi ze startego na proch przez fale morskie granitu, który był pierwotnym gruntem Pratatry. W utworzonych w ten sposób osadach miejscami morze sypało mogiły padającym pod naciskiem jego fali, olbrzymom prastarej roślinności, jak gdyby szerząc dokoła, zniszczenie, chciało coś zachować na podziw i naukę dla przyszłych pokoleń. W świecie naukowym ta pstra barwa ziemi nosi nazwę *luterytu*.

— Panowie — odezwał się Warburton — zanim profesor Strand nadszedł ze swego cmentarzyska, mieliśmy iść oglądać grootę zbójcejką. Chodźmy zatem; tymczasem upieczcie nam się udziec niedźwiedzi, a po obiedzie pójdziemy w dalszą drogę.

Nikt się nie sprzeciwiał. Sabala szedł naprzód wygrywając na guślikach i śpiewając starganym, lecz silnym jeszcze głosem:

„Idzie zbójnik z za Liptowa
Ciecze mu krew z za rękawa;
Z za rękawa i z główeczki,
Wszystko przez zdradę dziewczeczki.”

Henryk zabrał swoją puszkę blaszaną z roślinami i pospieszył za innymi, i on chciał też zobaczyć miejsce w którym ukrywali się zbójnicy. Miał też nadzieję że co nowego, czego jeszcze nie posiadał, znajdzie po drodze. Postępowali wąską drożyną pod skałą, a potem zaczęli kręto lasem iść w górę.

— Czy daleko do tych okien zbójcejkich? — zapytał Henryk.

— Nie prec — odrzekł Sabala — i w tejże chwili drzewa lasu rozstały się, a podróżni ujrzeli turnię tworzącą bramę, której otwór miał kształt dużego okna.

— Ktoby to przypuścił, że stanowisko zbójców znajduje się tak blisko głównej drogi — rzekł malarz. — Jest tak wybornie w lesie ukryte, że trudno go się nawet domysleć.

Ale dobrze obmyślane — odrzekł doktor; — przez dolinę Kościeliską jest przejście do Węgier. Może kupcy tedy chadzali z towarami i stawali się łatwą zdobyczą zbójników.

Wewnętrzna lewa ściana bramy jest pośrodku otwarta i tedy wprowadził Sabala podróżnych do skalistego kotła, niby do fortecznego obszernego podwórca, w którego ścianach były dwa otwory: wejście do groty i szczelina ponad przepaścią. Stanęli orzeźwieni panującym tu chłodem; profesor ocierał pot z czoła, a Warburton wodził okiem po ścianach, podziwiając piękną strukturę kotła.

— Widziałem różne jaskinie — powiedział — ale ta jest jedyną w swoim rodzaju; miejsce jakby umyślnie stworzone dla uczt i obrad, lub zebrań tajemniczych. Legendy Janosik mógł tu wygodnie swoją gwardyę mustrować. Dzikość tych ścian z ziejającą w głębi pieczarą i czarnym lasem chwiejącym się u góry, prześliczny tworzy kontrast z jasną, słoneczną doliną, śnieżną się gdzieś w dole przez rozłupę skalną.

Wszyscy z kolei przez okno spoglądali: jeden tylko profesor zachowywał się obojętnie wobec efektów tego obrazu. Kręcił się on niespokojnie na miejscu a nozdrza jego poru-

szały się, jakby doleciała go jakaś woń, której nie spodziewał się tu spotkać. Nakoniec odezwał się:

— Czy nie czujecie panowie zapachu piżma?

— Nie — odrzekł malarz — zkądżeby znowu piżmo się tutaj wzięło?

— Mnie się zdaje, że czuję — wtrącił Henryk.

— Zdaje ci się — odrzekł, śmiejąc się — to już wpływ sugestyi. Teraz, gdy profesor powiedział że czuje piżmo, wszystkim nam to samo zdawać się będzie.

— Mnie się jednak nie zdaje — odezwał się profesor z urazą.

— Nie przeczę; ale jaka mogłaby tego być przyczyna, bo pan profesor chyba nie zaprzeczy, że wszystko mieć musi swoją przyczynę.

— Sam się nad tem zastanawiam; chyba tu w tych miejscach znajdowało się pewne rzadkie zwierzątko, które...

— Które wydaje zapach piżma. Czy tak?

— Tak.

— Ale go niema.

— Nie widać go przynajmniej. Ale spostrzegam za to co innego — dodał, przesuwając oczyma po grani kotła, której czepiały się rozmaite rośliny, mianowicie paprocie i różne porosty, i zatrzymał je w jednym punkcie — *Limax Schwabii*, co za prześliczny egzemplarz!

I wskazał palcem wielkiego nagiego ślimaka, ciemno-szafirowej barwy, z malachitowym połyskiem. Poczem spał się na palce i wyciągnął rękę, ale nie mógł go dostać; więc jeden z górali zdjął go końcem ciupagi i podał rozpromienionemu profesorowi, który wyjąwszy z kieszeni pudelko, z największą ostrożnością umieścił w nim swoją zdobycz.

Młodsza część towarzystwa poszła z pochodniami do groty. Wiódł ich Sabala przyspiewując:

„Oj mamicko miła, czemuś mnie nie biła?
Kie mnie wiesać bedom, bedzies się hańbiła!”

Warburton i Strand wyglądali przez okno, pałac cygara i wsłuchując się w echo ginącego w podziemiach głosu gęślików. Anglik wolał zachwycać się ztąd urokiem kontrastu między ponurym kotłem a śmiejącą się doliną. Myśliciel, artysta i filozof, patrzył spokojnie w prostopadłą przepaść, nad którą wisiało okno. Ciągnęła go ona ku sobie nieprzepartym urokiem i myślał o chwili bardzo już dawnej, gdy opuszczał kraj znajdujący się nad przepaścią, wynosząc zeń swoje skarby: młodość, zdolność, siłę do pracy... I choć ten czyn świetne przyniósł owoce, ma poczucie że skradł z kasy ogólnej, a sumienie woła na niego żeby oddał co wziął i że nie zawsze jest zaszczytnem czepiać się brzegu. Uczuł zawrot głowy i wychylił się zanadto, ale Strand przestraszony pochwycił go za ramię.

— Ostrożnie sir Edwardzie, bo mógłbyś pan spaść!

Sabala z resztą towarzystwa wkrótce powrócił i wszyscy zgodzili się na to, że kto oglądał grotę Młyną, tutaj na próżno się trudził. Korytarz był długi, ostro sklepiony po ścianach służyło kamienne mleko, ot i wszystko. Nie było tu co robić dłużej. Gdy opuszczali kocioł i wychodzili przez bramę, doktor powiedział:

— Teraz i ja już czuję piżmo.

Wtem profesor krzyknął i rzucił się naprzód: jakieś małe zwinne zwierzątko przeleciało mu pod nogami i zniknęło w lesie.

— Co się stało? Coś pan zobaczył? — pytali wszyscy a doktor chwycił go za połą, mówiąc. — Co panu jest, gdzie pan chcesz biedz?

Ale profesor rozdrażniony na razie, wyrwał mu się i pobiegł jak młodzienc w kierunku zwierzątka, lecz napróżno. Po chwili stanął zmęczony, zziębnięty i ocierał pot z czoła.

(d. c. n.)

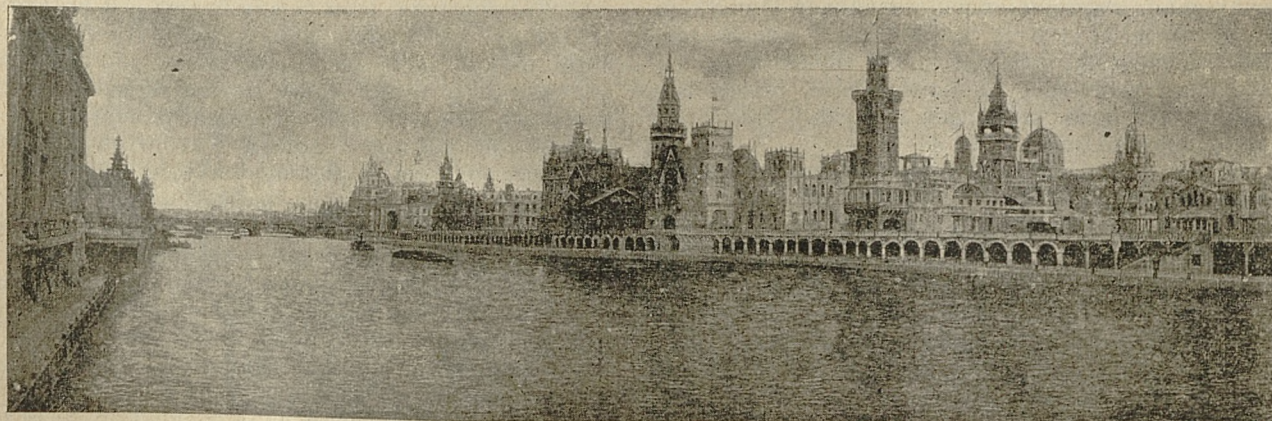
Z Wystawy Paryskiej.

V.

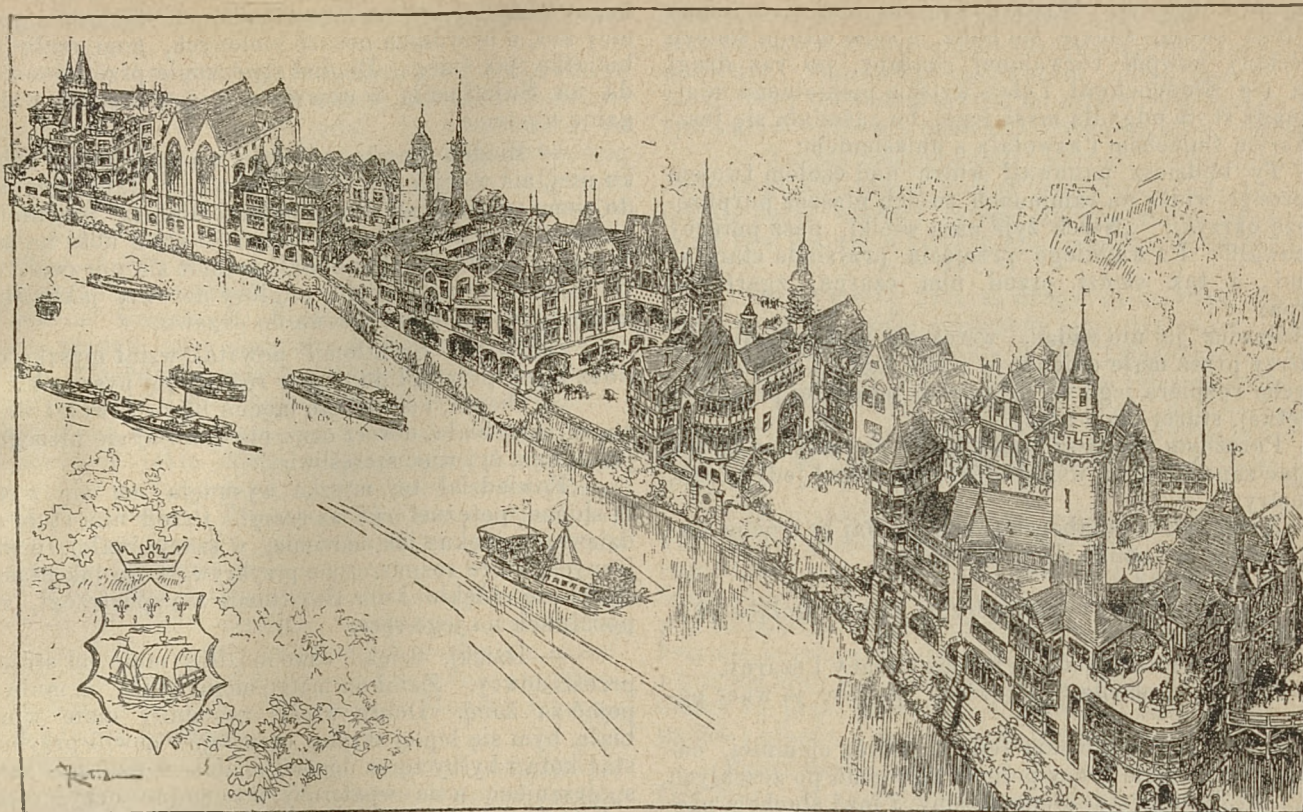
Jak wiecie z opisu ogólnego wystawy, część Sekwany znajduje się w jej obrębie, to jest, że wybrzeża rzeki z dwóch stron zajęte są przez budowle wystawowe. Mało jest przyjemniejszych przejażdżek, jak spacer statkiem lub łódką po tej części rzeki. Z jednej bowiem strony mamy „Ulicę Narodów” to jest szereg pałaców, wystawionych przez oddzielne państwa całego świata, każdy w stylu mniej więcej narodowym.

Obok więc pałaców państw europejskich, widzimy tam budowle Persyi, Siamu, rzeczpospolitych Transwaalskiej Orańskiej, amerykańskich i t. d. Wewnątrz budowle te zawierają okazy specjalnych wyrobów danego kraju, a komnaty urządzone są także po miejscowemu.

Na drugim brzegu mamy „Stary Paryż,” to jest szereg budowli, placów i ulic, zbudowanych na sposób średnio-wieczny, odtwarzający dawniejsze budynki Paryża, które już nie istnieją. Gdy się wchodzi do tej dzielnicy, myśl cofa się o jakie 500 lat do czasów Ludwika XII go lub Franciszka I-go; jest to olbrzymia a niezmiernie ciekawa ilustracja do historii stolicy Francyi.



Wybrzeże Sekwany z „Ulicą Narodów.”



Stary Paryż, zbudowany wedle szkiców artysty Robida.

POCAŁUNEK SŁOŃCA.

Baśń

przez S. Botworowską.

(Dalszy ciąg).

Jutro bracia wyruszają w drogę. Są zamyśleni, szczególnie Słońcochwał i Orlik. Światłomił nie dba o tron ojca i gdyby nie wola króla i czarnoksiężników, to zostałby w państwie, gdzie potrzebna jego opieka serdeczna.

— Nie dla mnie panowanie — powtarza braciom — ja wolę moje księgi, rozmowy z mędrcami, wolę bez żadnych przeszkód oddać się nieszczęśliwym. Wszak żaden z was nie poskąpi mi złota dla nędzy?

Najstarszy, szczęśliwy i pewny siebie, powtarza z dumą:

— Dla mnie korona! Światłomił zrzeknie się jej w każdym razie, a Orlik... eh, Orlik! i uśmiecha się z powątpiewaniem i litością.

A Orlik? Och! on uczyni wszystko, co będzie w jego mocy, by znaleźć dar najcenniejszy i wraz z ofiarą życia oddać go nowo mianowanemu władcy. Przejęty myślą o przyszłym męczeństwie, modli się gorąco przed grobem wielkiego króla, i wpatrzony w brylantowe słońce, powtarza z cicha:

— Pomóż... pomóż... pomóż...

— Orliku! dziecięczo moje! — budzi go nagle z dumy głos drżący i dobrze mu znany. Poczciwa Jaruha, stara piastunka, stoi przy nim i patrzy z miłością na swego pieszczocha. Pochylił Orlik głowę przed staruszką.

— Pobłogosław Jaruhu; w daleką idę drogę.

— Wiem synku, wiem dziecko! O! pomoże Słońce... Jaruha ma łaski u Niego i wyprosi szczęście dla ciebie i ty Orliku panować nam będziesz.

— Nie Jaruhu, ja...

— Pójdę na ofiarę? — przerywa staruszka — nie synu, ty panować będziesz, my nie chcemy pysznego Słońcochwała!

To mówiąc, kładzie pomarszczoną, twardą dłoń na jasnych włosach chłopca i szepcze zaklęcia i nuci następnie pieśń dziwną, pełną nut drżących tonami i rozkazu i prośby. Nagle... zajaśniało świetlanym blaskiem słońce brylantowe! Nie widzi tego Orlik, ale widzi stara Jaruha i szczęśliwa płacze z cicha, a łzy jej padają na jasną głowę najmłodszego królewicza.

* * *

Rok upłynął od wyjazdu młodych. Król stary tęskni i marzy o powrocie synów! Cóż się z nimi dzieje?

Najstarszy myślał, że nim miesiąc upłynie, on już z najcenniejszym darem wracać będzie do kraju, a tymczasem... o! zły jest i złość swoją wywiera na wszystkich, z którymi ma do czynienia. Ten to nigdzie nie zostawi po sobie myśli szlachetnej.

— Ja zmuszę do posłuszeństwa dobre albo złe potęgę — woła z uniesieniem, gdy pewien stary czarodziej nie chce mu powierzyć tajemnicy czytania w ludzkich myślach. A czarodziej spogląda poważnie i mówi ze smutkiem:

— Dobrych nie zmusisz, a złych potęg nie budź młodzińcze; lepiej zginąć, niż żądać od nich pomocy.

— Ja zginąć nie mogę, bo ja chcę panować i muszę panować.

I nie pożegnawszy się nawet z czcigodnym staruszką, idzie do starej czarownicy, której chałupę wszyscy omijają, u której w nocy straszne odbywać się muszą rzeczy, bo krzyki i wrzawa rozlegają się daleko, a kłęby dymu wiatr roznosi po całym lesie. Od dymu tego uciekają ludzie, bo dusi i męczy i oczy wygryza. Nie boi się Słońcochwał, bo tylko dobrzy boją się złego, a jego dusza coraz bardziej czarna.

Stara czarownica, mała, skrzywiona, o nosie krogulczym, malutkich krecich oczach, wyciąga na przywitanie rę-

kę dużą, kosmatą, o zakrzywionych palcach i paznogciach śpiczastych i ostrych. Wzdryga się królewicz, wyciąga jednak dłoń swoją; śmieje się baba, a echo odbija śmiech ten o ściany nawpół rozwalonej chałupy, po raz drugi wzryga się Słońcochwał i chce wyjść z piekielnego miejsca. Snadź stara odgadła myśl jego, bo zaśmiała się jeszcze dziakim śmiechem i zawołała z uniesieniem:

— Ty będziesz panował! widzę nad czołem twojem złotą koronę! widzę na ramionach twoich płaszcz purpurowy, słyszysz okrzyki: „Niech żyje nasz wielki, nasz potężny Słońcochwał!” I z wielkiego przejęcia przysiadła stara aż do ziemi, i tak siedzi przed nim czarna, zgarbiona i wstrętna.

Królewicz jej nie widzi... wzrokiem podniesionym do góry patrzy przez małe okienko w szafir nieba i coraz potężniej pycha rozpiera jego serce, i coraz potężniej przykuwa do wstrętnej, starej czarownicy.

— Potężnym będziesz i wielkim — powtarza w kółko, otwierając zapadłe usta, wśród których sterczał jedyny zęb, żółty i ostry.

— Królewiczu, gołąbeczku, sokole, daj ty trochę serca starej, a ona w zamian da ci dar cenny.

— A cóż dasz?

— Chodź za mną, królewiczu, chodź gołąbeczku, chodź sokole złoty.

I wychodzą razem i idą przez las ciemny i czarny.

— Zostań tu chwilę, królewiczu piękny, ja wnet powrócę!

Słońcochwał zostaje sam jeden... coraz ciemniej, coraz straszniej; uczucie grozy pełźnie ku niemu po zeschłych liściach... królewicz stoi nieporuszony i łowi słuchem najłżejszy szmer w lesie.

— Czego ja się boję? — pyta z cicha i wstyd czerwieni mu twarz pobladła.

— Ja się nie boję, i przyciska ręką serce, które bije trwogą wbrew wyrzeczonym słowom. — Ja się nie boję — powtarza głośno, a obudzone leśne echo powtarza: „boję.”

Nagle... szum napęłnia cały las, zabłysło, zagrzmiało i ot! stoi przed nim stara czarownica.

— Boisz się, sokole?

— Nie — rzecze Słońcochwał z dumą — ale powiedz, czy długo jeszcze czekać będę na dar obiecany?

— Zaraz, zaraz królewiczu, i stara podnosi do góry kościste palce i zaczyna śpiewać głosem ochrypłym... a śpiew ten przechodzi zwolna w wycie, które milknie, by zamienić się w gwizd przeraźliwy. Błyskawica, grzmot! i staje przed Słońcochwałem karzelek brzydki, jak noc piekielna.

— Cóż przynosisz? — pyta królewicz.

— O! mam dar cenny, przyda ci się, potężny królu — i powiedziawszy to wyjął z kieszeni małą, ołowianą kulkę.

— Ta kulka? nie rozumiem.

— Ta kulka trafi zawsze do miejsca przeznaczenia, ta kulka jest nieśmiertelna, bo możesz nią obdzielić milio nowe wojsko i tą jedną kulką możesz zdobyć świat cały.

Zajaśniała radością twarz królewicza.

O królewiczu, o Słońcochwale! czyż z czeluści piekiel winienes przynieść dar dla kraju swego?

Wziął kulę Słońcochwał, a w zamian za nią złożył przysięgę straszną, przysięgę wiecznego posłuszeństwa dla starej czarownicy.

* * *

Światłomił zadumany usiadł kędyś na pniu ściętej sosny i wsłuchany w pieśń lasu, marzył o powrocie do stron rodzinnych. Oparł głowę na dłoń, błędził oczami po lesie i słuchał odgłosów, które echo przynosiło mu z pobliskiej wioski. A w lesie, to kukulka zakukała, to dzieciół uderzył o korę drzewa, to pszczoła zabrzęczała... i dobrze mu było wśród spokojnej, młodej natury.

Wszakże mu sumienie nic nie wyrzuca! Ma całe pliki zapisanego papieru, a w nich tysiące dobrych myśli, zdrowych rad, tysiące marzeń dla szczęścia ukochanego kraju.

Myśli o idealnem państwie na ziemi, aż tu nagle chrzęst łamanych gałęzi wyrwa go z zadumy. Ogląda się... ogromny kot, o brzydkich oczach zielonych, goni małą myszkę bielutką, jak śnieg. Biedne stworzenie przerażone spogląda na Światłomiła, w czerwonych jego oczkach widać błaganie o pomoc.

— Biedna myszko, nie dam cię, nie dam, i schylił się ku niej, ale w tejże chwili kot się rzucił, łapą przycisnął ją do ziemi spojrzął na Światłomiła śmiało, niemiło spojrzeniem. Porwał królewicz za kord i zabił kota na miejscu. W tejże chwili gdzieś w oddali grzmot się odezwał, a w lesie tajemniczo zaszumiało, odgłosy dziwne, jakby śmiechu, jakby płaczu szły od drzewa do drzewa.

Zdziwiony Światłomił powstał, wziął myszkę do ręki i bez myśli przytulił do twarzy różowy jej pyszczek.

— Ciepła, i serduszek mocno bije — zawołał wesoło — no, myszko biała, otwórz oczy, nie obawiaj się niczego, kota już няма, żyj więc szczęśliwie.

Powiedział to; myszka wysunęła mu się z ręki i... O słońce potężne! cóż za czary! Przed nim stało urocze dziewczę, piękne jak marzenie, w szacie białej, o włosach jasnych, które rozpuszczone przykrywały ją jak płaszczem. Dziewczę uklękło i nim Światłomił się spostrzegł, złożyło pocałunek na jego ręce.

— Dzięki, dzięki! oswobodziłeś mnie od strasznego prześladowcy. Zabił on matkę moją i ojca, a mnie chciał pojąć za żonę. Dobre wróżki zamieniły mnie w myszkę białą, bym się lepiej skryła, on w tejże chwili przybrał postać kota i byłby teraz dogonił mnie. — I dziewczę dziękuje spojrzeniem, a on wpatrzony w te cudne oczy, zapomina o świecie całym. Nazwał ją Białą Myszką i pokochał nad życie, a i ona nad życie pokochała młodego królewicza.

— Myszko moja biała, tyś najcenniejszym skarbem, pójdę do ojca i powiem: „Ojcie, przywożem ci z drogi synową i ona darem najcenniejszym; dobra królowa na tronie, czyż to nie szczęście dla narodu?”

* * *

(d. n.)

TESTAMENT DZIWAKA.

POWIEŚĆ

JULIUSZA VERNE'A.

przekład M. D.

(Dalszy ciąg).

— A więc dalej naprzód; zbieraj manatki Turk! — huknął komodor na zakończenie narady.

Poprzedzeni ciężkim kuferem w ulubionych swych ubiorach marynarskich, a więc w sukiennej bluzie, obciążonej w biodrach pasem, w wysokich butach i czapce z daszkiem, przybyli obaj na dworzec kolejowy, zwracając od razu na siebie uwagę wszystkich.

Ale oni mało o to dbali, jak również nie zwrócili żadnej uwagi na czynione im pożegnalne owacy.

Nareszcie pociąg ruszył w stronę Kairo. Tak więc rozpoczął szósty partner swą podróż tą samą drogą, którą kilkanaście dni temu wiozł John Milner swego pupila, sławnego siłacza. Od Kairo wszakże, gdy pierwsi podążyli w stronę więcej południowo-zachodnią do Nowego-Orleanu, on przesiadł się na linię południowo-wschodnią, idącą wśród granicy Missisipi i Alabama do portu Mobile.

Jednem z większych miast na tej drodze jest: Jackson, w Stanie Tennessee, które nie należy brać za jedno z jego

imiennikami ze Stanów Missisipi, Ohio, Kalifornii lub wreszcie Michiganu.

Ale ani Urrikan ani jego towarzysz nie pytali o stacye lub miasta, bo cóż tych starych wilków morskich obchodzić mogły jakiekolwiek osobliwości lądu? Im wystarczyło, że pociąg, jako pospieszny posuwał się z pożądaną szybkością i to zadowolenie było też zapewne przyczyną, że Urrikan nie posprzeczał się z nikim ani razu w tym czasie, chociaż przedział, który zajmował, pozostawał w istnem obleżeniu i ta natrętna ciekawość pasażerów byłaby go innym razem do wściekłości doprowadziła.

Wreszcie wieczorem, drugiego dnia po wyjeździe z Chicago, stanęli nasi podróżni w Mobile. Odebrawszy swój bagaż, komodor zawsze w towarzystwie Turka, kazał się zawieźć do hotelu znajdującego się najbliżej portu.

Zbyt późna wszakże była już pora, aby zasięgnąć zaraz wiadomości, jakie statki miały nazajutrz wyruszyć w drogę, bo że będzie ich więcej do wyboru, o tem ani na chwilę nie wątpili obaj. Tymczasem udali się na spoczynek i rankiem dnia następnego, jeszcze przed wschodem słońca wyszli na wybrzeże portu Mobile.

Ani Montgomery, stolica Stanu Alabama, który został tak nazwany od miejscowej rzeki, a w którego zachodniej części wznoszą się skaliste wzgórza, gdy wschodnia przedstawia błotniste doliny uprawiane pod bawełnę, ani fabryczne Birmingham nie może rywalizować z Mobile, leżącym nad zatoką tegoż nazwiska.

Przyczynę tego szukać należy w nader szczęśliwym jego położeniu; obszerna bowiem i łatwo dostępna zatoka, tworzy tu najdogodniejszą przystań dla okrętów, które rocznie w liczbie około tysiąca, wywożą z kraju cygara, bawełnę, węgiel kamienny i żelazo. To też miasto wzrasta ciągle, rozkładając się szeroko wśród bujnej zieleni drzew.

Słusznie więc komodor mógł być pewnym, że wystarczy dostać się tutaj, aby bez żadnej przeszkody odpłynąć natychmiast do Key-West.

Bywają jednak w życiu człowieka chwile fatalne, w których go wszelkie zawodzą rachunki; i tym razem Urrikan, gdyby nawet był najłagodniejszym miał niezaprzeczoną przyczynę do gniewu.

Oto najnieszczęśliwiej trafił na strejki robotników w porcie. Wszyscy kanonierzy zbuntowali się zgodnie, żądając podwyższenia płacy, i choć wybrzeże zawalone było stosami pak i towarów, choć już całą przystań zajęły okręty, których jeszcze coraz więcej przybywało, cisza zupełna panowała w porcie, a co gorsze, bezrobocie to mogło jeszcze potrwać długo, bo kapitanowie statków nie byli skłonni do żadnych ustępstw.

W nieznośnem oczekiwaniu, zirytowany w najwyższym stopniu, przeczekał tak komodor, 13-ty, 14-ty i 15-ty maja. Nareszcie znajomi, których tam odnalazł, poczęli mu doradzać, aby się udał koleją do Pensacola, jednego z głównych miast pobrzeżnych północnej Florydy.

Urrikan, trzeba mu to przyznać, był człowiekiem prędkiej decyzji. Zaraz więc też rano 16-go jechał już koleją i jeszcze dnia tegoż wysiadł na dworcu w Pensacola, której ruch handlowy morski, podtrzymywany całą siecią zbiegających się tu dróg żelaznych, znany mu był od dawna.

Ale i tu w dalszym ciągu czekał go zawód. Wprawdzie nie było tu strejku robotników, ale też ani jednego statku w przystani, któryby miał wyruszyć w stronę Antylli lub Atlantyku.

— Do licha — krzychał komodor, rzucając się w bezsilnym gniewie — wszystko mi na opak staje!

— I nikogo, żeby choć można złożyć swą wylać — dorzucił Turk z groźnem spojrzaniem.

— Pókiż więc mam stać na tej mieliźnie, na której utknęliśmy!

— Oczywiście komodorze, trzeba nam bądź co bądź rozwinąć żagle — zawyrokował Turk.

Zaczęli więc biegać od okrętu do okrętu, sami wypytywali kapitanów mniejszych statków, o prędkości wy-

jazd w pożądanym dla siebie kierunku, ale jakby się wszystko przeciw nim sprzyściło, otrzymywali tylko niepewne odpowiedzi. Ten czekał za towarem, który jeszcze nie nadszedł, inny znów miał ważne do załatwienia sprawy, a dnie tymczasem upływały chociaż Urrikan szalał ze złości.

— Do stu tysięcy bomb i kartaczy — krzychał — przecież nie pojadę lądem wzdłuż całego półwyspu, bo choćbym już nie liczył własnej fatygi, ale cóż tam za komunikacya, gdzie tam marzyć o kolei w tym przeklętym, dzikim jeszcze kraju!

I rzeczywiście była to droga niemożliwa, zważywszy mianowicie tak ściśle oznaczony przeciąg czasu. Bo choćby, jadąc koleją z Pensacola do Telachassee, następnie przez Live Oak do Gorda nad zatoką Meksykańską, to cóż pocznie dalej na tym zachodnim, mało zamieszkałym wybrzeżu Florydy, którego dzikość przyrody staje w przeciwieństwie do życia i ruchu jaki kwitnie od strony Atlantyku.

Czy znajdzie tu komodor choćby na wagę złota jaki wóz i konie, któreby go przewiozły setki mil przez nieprzejrzone lasy, pod sklepieniem ponurych cyprysów, przez torfiste równiny, gdzie ziemia pokryta ostrą trawą, usuwa się pod stopami, idącego; — przez te pagórki grzybowe, kędy olbrzymie purchawki pękają za łada potrąceniem, wyrzucając z hukiem swój pył szkodliwy. Jakimże sposobem przedostałby się przez niedostępne moczary i bagna, rojące się od gadów i płazów z najjadowitszymi gatunkami węzów?

I czyż dziwić się, że w tak niegościnnym kraju mało żyje ludzi, że szukały tu schronienia ostatecznością tylko przynaglone plemiona pięknych i odważnych Seminolów, którzy wraz ze swym wodzem Orseolą długo tu bronili się przeciw zaborowi Unii. Tylko też oni tak niezmiernie skromni w swych potrzebach mogą tu się wyżywić, i tylko ich organizm tuziemców stawia względny opór zgniłej febrze, która każdego Europejczyka, chociażby był silny, jak sam Hodge Urrikan, powala w dni parę.

O, gdyby ta zachodnia strona wybrzeża podobną była do wschodniej, gdyby wystarczyło udać się z Fernandina do Jacksonville lub chociażby nawet do, do Saint-Augustine przez okolice, w których nie braknie miasteczek, osad i wsi złączonych drogami żelaznymi, szósty partner nie namyślałby się pewnie ani chwili co do wyboru drogi. Ale puścić się lądem z Punta Gorda do przylądka Sable — nie, na to trzeba szczególnej odwagi i zamiłowania turysty. Mimo wszystkiego, czas jednak nie zatrzymał się w biegu i za sześć dni miał już komodor znajdować się w Key-West. Co więc począć, gdzie znaleźć radę w tak gwałtownej potrzebie!

Gryząc palce ze złości, chodził właśnie Urrikan dnia tego wczesnym rankiem po wybrzeżu, gdy zbliżył się ku niemu jeden z właścicieli owych małych żaglowców, czynnych w niedalekich odstępach u wybrzeży Florydy.

Mały ten nihy kapitan, pochodzenia w pół hiszpańskiego, pozdrowszy go na sposób wojskowy zapytał:

— I pan komodor jeszcze nie znalazł przeprawy dla siebie?

— Nie mam dotychczas nic, — i gdybyś się o czemś odpowiednim dowiedział dostaniesz dziesięć piastrow.

— Ja już wiem o jednym statku.

— Mówże który?

— Mój własny...

— Twój?

— Tak jest. Moja Chicola jest dwumasztowcem, robiącym przy dobrych warunkach sześć węzłów na godzinę. Przewiozę bezpiecznie pana komodora. Drogę znam doskonale, nieraz już byłem w Key-West.

— Możesz jechać zaraz?

— Skoro tylko pan komodor rozkaże.

— Jeżeli mamy pięćset mil w prostej linii z Pensacola do Key-West — rozumował sobie Urrikan — to potrącając cośkolwiek na nieuniknione zboczenia, na wiatr mniej, przyjazny i t. p. cała przeprawa może potrwać dni sześć

coby jeszcze wypadło na moją korzyść. A więc nie mam się czego namyślać...

Tak postanowiwszy poszedł jeszcze z Turkiem obejrzeć Chicole. Był to statek mały i lekki o niewielkiem zagłębieniu, któryby zginął na pełnem morzu, lecz u wybrzeży poszarpanych i najeżonych podwodnemi skałami, właśnie służyć mógł bezpiecznie.

— Ile żądasz za przeprawę — zapytał Urrican.

— Sto piastrów dziennie.

— Z żywnością?

— Tak jest, z żywnością.

— Niechże będzie, chociaż umiesz wyzyskać położenie. Poczyn odpowiednie przygotowania; za godzinę jedziemy, aby opuścić przystań przed przypiływem morza.

Stanowczy i zwięzły w swych rozkazach komodor, żądał też aby je spełniono jaknajakuratniej. Skoro więc tylko Turk powrócił z hotelu z kufrem, zaraz Huelcar podniósł kotwicę i dwumasztowiec opuścił przystań, a przesuńawszy się między fortami Mac Rae i Pickens, wzniesionemi niegdyś przez Francuzów i Hiszpanów, wypłynął na pełne morze.

Szósty partner w niebezpieczeństwie życia.

Pogoda była niepewna. Dość ostry wiatr dał od wschodu, morze jednak z tej strony zasłonięte od Atlantyku lądem półwyspu, było jeszcze ciche; Chicola więc płynęła równo i spokojnie.

Naturalnie, że u tak wytrawnych marynarzy, jak komodor i Turk nie mogło być żadnej obawy o chorobę morską, której biedny Tom Crabbe o mało nie padł ofiarą. Nawet gdyby zaszła tego potrzeba, obaj gotowi są pomagać Huelcarowi i jego trzem majtkom. A taka okoliczność może nadejść, łatwo zważywszy, jak częste i gwałtowne bywają burze w Zatoce Meksykańskiej. Na szczęście jednak Chicola jest dość lekka i mała, aby trzymając się ciągle blisko wybrzeży, znalazła jakoweś schronienie.

— Niechby tylko wiatr obrócił się od zachodu, posu nęlibyśmy się szybko naprzód — powtarzał Huelcar.

Ale komodor nie miał szczęścia w tej całej podróży. Nietylko, że wiatr nie zmienił kierunku, lecz uciął zupełnie, i jeżeli żaglowiec nie stanął bez ruchu, to jedynie dzięki prądowi, który go unosił. Co wszakże podobna żegluga warta była, o tem wiedzieli wszyscy.

Tak ominiono port Tampa, gdzie zawijają statki w razie jakiego niebezpieczeństwa. Lecz mimo, że cisza na morzu bywa nieomylną zapowiedzią burzy, mimo, że już niebo przybrało ów charakterystyczny wygląd, znany do brze Urricanowi, nie było nawet mowy o zatrzymaniu się w porcie.

Wszakże tak mało zostawało już czasu, a tak daleka czekała jeszcze przeprawa.

— Odmiana powietrza jest pewną — zauważył trochę nieśmiało Huelcar.

— Widzę to — odparł komodor — i niechby tylko wiatr powiał od zachodu.

— Te wydłużone wszakże fale i ten stan powietrza, nie wróżą mi nic dobrego...

(d. c. n.)

Ukąszenia pszczoł i os.

Mój przyjaciel Edzio, ten z czwartej, jest amatorem wielkim wszelkich jagód. Któregoś dnia byliśmy razem w ogrodzie na porzeczkach, nagle słyszę krzyk.

— Pszczoła! pszczoła ugryzła mnie w usta! — woła Edzio, i choć wytrwały, marszczy się i już widzę, że ma łzy w oczach. No! nic to dziwnego, bo ukąszenia pszczoł, os i trzmieli są bardzo bolesne. Już mu warga i twarz spuchły.

Ale od czego przyjaciel, Wieczór Rodzinny? Prowadzę go do kuchni i wołam:

— Dajcie czosnku, cebuli albo porów!

Podano mi czosnek, natarłem nim bolące miejsce, ból przeszedł a puchlina znikła bardzo prędko. Trzeba wam bowiem wiedzieć, że sok tych jarzyn usuwa skutki ukąszenia nawet bez potrzeby wyciągania żądła.

Dzielię się tą wiadomością bardzo na dobie w obecnym czasie z innymi czytelnikami „Wieczorów,” dodając jeszcze, że i sól kuchenna, choć w mniejszym stopniu, ale także łagodzi ból bardzo.

Przytem jednak radzę nie przysuwać się zbyt blisko do uli i uważać na jagody, które się zrywa, zwłaszcza na maliny, bo można z łatwością włożyć sobie w usta osę lub pszczołę, a te biedaczki przecie muszą się bronić.

W. R.

ŁAMIGŁÓWKA KROPKOWANA.

Od Złotego słonka dla Zochny R.

Właśn. st. r. z. s. k. ch. d. z. l. p. sm. t. r. n. m. dw. r. z. p.
N. c. a. c. p. r. e. s. n. k. : K. d. r. n. n. w. s. j. z. r. z.,
R. d. z. s. w. p. g. d. z. . Mgł. n. . szł. d. g. r.,
J. k. , s. . d. z. . c. zw. k. l. k. d. y. z. b. . r. j. s. . c. h. m. r.
. l. c. r. z. s. p. d. l. . W. . tr. r. z. w. n. l. d. l. n. .
. m. g. l. m. s. k. l. , w. g. l. d. z. l. , r. z. s. . l. l. u. b. l. n. . ,
T. m. c. z. s. m. s. l. n. k. z. g. r. t. s. . c. m. p. r. m. n. .
T. l. p. r. z. t. k. p. s. r. b. r. z. , w. z. l. c. , r. m. n. .
J. k. p. r. m. s. t. r. z. w. w. S. l. c. k. l. t. p. s. w. r. b. .
Dz. . w. c. s. d. z. c. w. d. l. k. r. s. n. u. j. d. w. b. .
. t. l. r. k. w. g. l. d. z. , t. m. c. z. s. m. t. k. c. z. z. g. r.
Zr. z. c. j. j. n. t. k. s. r. b. r. , z. l. t. . p. r. p. r.
T. w. r. z. c. b. r. w. . k. w. . t. : T. k. d. z. s. z. m. . c. l.
W. . tr. t. m. n. m. . s. n. l. , . s. l. u. c. d. z. . r. z. g. l.

Zastąpić kropki literami, aby złożyć wiersz A. Mickiewicza.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii rocznie zhr. 6. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Na łące, wiersz przez J. B. (z ryc.) — Z dziejów cywilizacji, drukarstwo. — Róża bez kolców, opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej, przez Zofię Urbanowską. — Z wystawy paryskiej (z ryc.) — Pocałunek słońca, baśń przez Z. Potworowską. — Testament dziwaka, powieść Juliusza Verne'a, przekład M. D. — Ukąszenie pszczoł i os. — Łamigłówka. — Dodatek: Pracowite kotki, wiersz przez Mruczyśława (z ryc.) — Dzienniczek Wańdzy. — Przykry sen, przez Maryę Beldowską. — Mały Cygan, ze szwedzkiego przełożył Konstanty Bończa-Bukowski. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Na wakacjach, przez Maryę Łopuszańską.

Redaktorka Ludwika Hauke. Дозволено Цензурою. Варшава 8 Июля 1900 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.



Pracowite kotki.

Kto śmie mówić, że umiemy
Tylko łowić myszy,
Lub po dachach spacerować
Pośród nocnej ciszy.

Lub wykraść młode ptaszki,
Co z kruchości słyną,
Potem łapki oblizywać
Z niewiniątek miną?

Kto to mówi, niech za karę,
Nie zna co łakocie!
Bo nas każdy przecie tutaj
Widzi przy robocie!

Mruczysław.

Dzienniczek Wańdzi.

(Dalszy ciąg).

Chodziliśmy długo po cmentarzu, przyklękując z modliwą na niejednym grobie, bo leżą tam także i tacy, których ja znałam nawet osobiście, jak pan Franciszek Duchiniński, mąż naszej kochanej pani Seweryny. Pokazała mi też ciocia grób pani Potockiej, Komarowej z domu, przyjaciółki Zygmunta Krasińskiego. Stoi tam napisane: „Jeszcze kielich mej goryczy wiele kropel ma, muszę cierpieć, pić powoli, póki Pan Bóg da.” Zapisałam sobie to, bo mi bardzo przypadło do gustu.

Powróciliśmy na osłach, które w Montmorency wynajmować można, śmieliśmy się ogromnie, bo Stach spał, ale sobie dzięki Bogu nic nie zrobił, Antolkowi zaś osieł uciekł, trzeba go było gonić, ja tylko siedziałam monono i śmiało, boć ciocia Tolcia, jak tylko osieł żywiej machnął ogonem, zaraz krzyczała, z obawy, aby nie spaść. Mamusia się z niej śmiała i mówiła:

— Cobyś ty zrobiła na okręcie, kiedy taki tchórz z ciebie?

A ona na to:

— Moja kochana, to też ja nie poszłam za mąż za marynarza, tylko za spokojnego człowieka, który się z miejsca nie rusza.

20 marca 1900 r.

Ogromnie było nam smutno z mamusią powracać do domu, chociaż spieszyłyśmy się, bo ojczulek był tak zupełnie sam, tylko z Filipem. W La Barre wesoło i przyjemnie, tyle osób bywa, a sami swoi. Poznałam też tam pana Reymonta, który napisał powieść „Ziemie obiecane,” o bogatych ludziach w Łodzi. Mamusia czytała tę książkę głośno ojczulkowi, gdy rysował topograficzne mapy na nagrodę do Sorbony. Słyszałam niektóre tylko ustępy, bo mamusia powiedziała, że to nie dla mnie. Ale jak czytała opisy wsi, to mnie wołała. Ach! tak pragnęłam zobaczyć tego pana, co tak ślicznie opisał wizytę narzeczonego u narzeczonej na wsi, bytność ich w kościele

a potem u księdza proboszcza, który częstował wszystkich.

Mamusia mówiła, że to zupełnie, jak gdyby widziała zebranie po kościele u ks. dziekana Antoniewicza w Bni- nie, że to z natury wzięte, bo u nas na wsi, zawsze wszy- scy po mszy św. idą do księdza proboszcza na przekąskę i miłą pogawędkę.

Ciocia Kostunia wzięła mnie za rękę przyprowadziła do p. Stanisława Reymonta i powiedziała:

— Jest tu jedna mała osóbką, która bardzo pragnie być panu przedstawioną.

Zaczerwieniłam się ogromnie, ale podałam mu rękę. Rozmawiał ze mną chwilę i pochwalił, że tak dobrze mówię po polsku, a ja mu na to:

— Jak pan może się temu dziwić, przecież jestem Polką.

On się rozśmiał i odpowiedział:

— No, tak, ale pewnie, panienka jeszcze w kraju nie była?

— Owszem, byłam już dwa razy, w Gnieźnie i w Po- znaniu, a jak powrócimy z Tonkinu, to pojedę z rodzica- mi do Krakowa.

Pani Duchinińska wmieszała się do rozmowy i powie- działa mu, że ma dzielną osóbkę przed sobą i kazała mi deklamować wiersz pani Neumanowej, która mieszkała z mężem we Francji i w Egipcie.

Powiedz mi siostró, choć świat taki cudny,
Taki bogaty i gwarny i ludny,
Czemu w mej duszy w najweselszej chwili,
Jakaś tęsknota budzi się i kwili.
Za chatą naszą, za szmerem tej fali,
Co strome stopy Wawelu oblewa?...

Gdy skończyłam, wszyscy mi wieszowali, ściskali i niejeden miał łzy w oczach, bo to byli ludzie, co z kraju dawno wyjechali i pewno przed śmiercią już do niego nie powrócą, więc było im smutno.

Gdy ten wiersz słyszeli i pytali mi się z kąd go mam, odpowiedziałam, że mi go ciocia Tolcia przywiozła. Więc chwalili mnie, że się go tak zaraz nauczyłam, i że tak ład- nie ze zrozumieniem deklamuję. Mamusi było przykro, że ojczulek tego wszystkiego nie słyszał, byłby się tak cieszył i taki dumny byłby ze swej kochanej córeczki. Ale i tak się cieszył, bośmy mu musieli wszystko opowiadać, ze wszystkimi szczegółami.

Miło było w La Barre, oj miło, wesoło i przyjemnie jak w kraju, to też teraz żyjemy tylko wspomnieniami, ciągle jeszcze coś opowiadamy, to sobie, to ojczulkowi o tym naszym tam pobycie.

Teraz mam dużo pracy. Na pojutrze muszę opisać życie i śmierć Joanny d'Arc. Trudne to, ale ojczulek obiecał mi poprawić i przy obiedzie opowiedział dużo szczegółów z jej życia, o których na pensji nie mówili. Więc mam nadzieję, że moje wypracowanie będzie naj- lepsze. Napiszę też o tym obrazie, co go widziałam na wystawie sztuk pięknych w Salonie w Paryżu, jak Joan- na w kajdanach klęczy i przyjmuje ostatnią Komunię św. przed śmiercią, idąc na stos. Ach! co to było za okrucieństwo ta jej śmierć, tak mi jej żal serdecznie! Ona była tem dla Francuzów, czem Kordecki dla nas.

Dzisiaj był długi list od cioci Polci, zajechała szczę- śliwie do domu, wuj Kazio zdrów zupełnie.

(d. c. n.)

PRZYKRY SEN.

W dzieciennym pokoju siedzą dwie siostrzyczki, Lo- cia i Janinka, każda zadąsana wcisnęła się w swój kącik i nudzi się. Te dziewczynki kochają się bardzo, ale nie- ma dnia żeby, jaka sprzeczka nie zaszła i teraz zamiast bawić się zgodnie, posprzeczały się o to, jaką suknię wło- żyć dużej lalce. Janinka częściej gotowa ustąpić, lecz Lolcia jest uparta i prawie nigdy nie chce dogodzić sio- strze.

— Cóż to się stało moim córeczkom, że tak cicho się- dzą? — zapytała mama, wchodząc do pokoju.

— Nie mam ochoty bawić się z Janinką — odrzekła Lolcia — ona taka nieznośna.

Mama westchnęła.

— Dlaczego mama wzdycha? — spytała Janinka.

— Przypomniałam sobie biedną Marcinową, której córeczka Różia dzisiaj umarła.

— Różia umarła! — zawołały zżółtałe obie siostrzycz- ki równocześnie.

Znały one doskonale Rózię, wiejską dziewczynkę która przychodziła nieraz do dworu i bawiła się z niemi gdyż była w jednym wieku z Locią.

— Właśnie wracam od Marcinów — mówiła dalej ma- ma — nie mogłam dalej patrzeć na rozpacz tych nieszczę- śliwych ludzi; nawet małe rodzeństwo Rózi, Franusia i Michaś płaczą bez przerwy, patrząc na swą bladą, małą siostrzyczkę.

Loci i Janince bardzo żal było Rózi, rozplakały się też słuchając tego opowiadania, a po wyjściu mamy dłu- go jeszcze o niej rozmawiały.

Wieczorem przed pójściem spać, Janinka zaczęła się skarżyć na ból głowy. Mama położyła ją prędzej do łó- żeczka, zalecając Loci, aby się cicho sprawiała. Locia leżała cichutko i prędko też zasnęła. I oto śni jej się, że stanął przy niej aniołek i pokazuje duży pokój, na które- go środku stoi łóżeczko Janinki, a przy nim płacze mama. Locia chce się zapytać, co to znaczy, ale aniołek uprze- dza ją, mówiąc:

— „Patrz, Janinka chora! Nie chciałaś jej nigdy dogodzić, a ona może teraz umrzeć.”

— Ja nie chcę, ja nie chcę, żeby Janinka umarła! — woła Locia z płaczem.

— „Pomódł się! — powiedział aniołek, odlatując.

Nazajutrz jak tylko Lucia się obudziła, spytała zaraz o Janinkę.

— Janinka ma gorączkę — rzekła mama — leży w łóżeczku.

— O mamusiu, żeby tylko Janinka nie umarła — zawołała Locia.

I odpowiedziała mamie swój sen przykry.

— Zrób jak radził aniołek — powiedziała mama — pomódł się do Boga szczerze o zdrowie Janinki.

— Ach, mam, żeby mnie tylko Pan Bóg wysłuchał. Już ja odtąd będę dla niej zawsze dobra i ustępna.

I wysłuchał Pan Bóg modlitwy Loci, po paru dniach Janinka wstała zdrowa zupełnie, ale też Locia dotrzymała słowa i odtąd wzorowa zgoda panowała między dziewczynkami.

Murya Bełdowska.

Eimar Lindström.

Mały cygan

ze szwedzkiego przełożył

Konstanty Bończa - Bukowski.

Kale *) Flink był żwawym i sprytnym chłopcem lat dwunastu. Ojciec jego był sierżantem, teraz zaś podał się do dymisy i zamieszkał z rodziną, która składała się z żony i syna w małym miasteczku Köping.

Kalle zaczął uczęszczać wtedy do szkoły, gdzie wkrótce uważano go za najlepszego współzawodnika w bójkach z kolegami, ale i za największego leniwca do nauki.

Rozpoczęły się właśnie wakacje letnie. Któż mógł być weselszym od Kalla? Nie będzie potrzebował zajmować się nieznośną dlań nauką przez całe trzy miesiące, lecz będzie prowadził inne życie. Ale dni wydawały się coraz jednostajniejszymi. Kalle nie miał co robić i wreszcie pragnął już końca wakacji; w czasie nauk przynajmniej miał się z kim bić. Wprowadzić mógł i teraz poturbować Pella z sąsiedniego domu, spotykał go przecie tak często. Tylko Kalle nie był pewny, czy to wypadało, gdyż przysiągł koledze braterstwo. Obaj przyrzekli kochać się wzajemnie, pocieszać w troskach, pomagać w biedzie i mścić się jeden za drugiego na wzór Korsykańów.

Takie myśli zajmowały zapewne naszego czcigodnego Kalla, gdy pewnego poranku zmarszczony stał na rogu ulicy, trzymając ręce w kieszeniach. Po chwili spojrzał błędnie w około i wreszcie ręką potarł sobie nos. Po skończeniu tej czynności zamienił swe myśli na słowa:

— Co tu robić naprawdę!

Przyjął znów poprzednią postawę, to jest schował ręce do kieszeni. Wkrótce obudziły go z zadumy głośne, szybkie kroki i piskliwy głos zawołał:

— Kalle! Ka-a-alle!

Kalle wydobyl ręce z kieszeni, przystąpił niemi oczu od słońca (daszek u jego czapki nie istniał już oddawna) i spojrzał w górę ulicy, ale nie ujrzał nikogo, obrócił się więc w przeciwną stronę i spostrzegł swego przyjaciela Pella, który cały zadyszany biegł do niego, wołając:

— Wiesz co, Kalle, na dziedzińcu kupca Jonsona są cyganie, grają na katarynce i mają, wyobraź sobie, taką małpę, co pokazała nos samemu kupcowi z rynku! Ten tak się o to rozgniewał, że mało nie pękł ze złości.

— Chodźmy tam! — rzekł Kalle, i począł biec z siłą

całych wyprzedzając Pella. Ale gdy przybyli na miejsce wskazane, nie znaleźli tam żywej duszy.

— Gdzie się podzieli cyganie? — spytał Pelle staruszką, zamiatającą ulicę.

— O co chodzi? — odparła staruszka, przerywając robotę.

— A no, pytałem się, dokąd poszli cyganie z małpą?

— Wypędził ich kupiec z dziedzińca dla tego, że małpa pokazała mu nos, więc poszli sobie dalej i zdaje się, że są teraz przed domem doktora.

Po tych słowach, staruszka zabrała się znowu do pracy, a chłopcy pobiegli na wskazane miejsce.

Właśnie kiedy przybyli na dziedziniec doktora, cyganie w najlepsze pokazywali swe sztuki. Stara cyganica kręciła korbą katarynki, a przy jej urywanych tonach, chłopczyk, mogący mieć lat 10, o chorym wyglądzie twarzy, tańcząc, wykonywał rozmaite sztuki. Stary zaś dziad, widocznie „ojciec cyganów” we własnej osobie obchodził widzów z blaszanym talerzem w ręku i zbierał mniej lub więcej hojne datki. Dopełniała kompletu trupy małpa, siedząca na katarynce i pokazująca różne miny zebranych.

— Patrz-no na nią, Kalle — rzekł Pelle, pokazując małpę — czyż nie zabawna, co? Czy to może być orangutang?

— Eh, nie to chyba nie orangutang. Kto wie jak tam ją nazywają... Jak się masz, Oskarze?

Ostatnie zdanie tyczyło się chłopca, który właśnie w tej chwili wszedł na dziedziniec.

— Dzień dobry. Patrzcie! zaraz wam coś pokażę — rzekł Oskar.

— Co to takiego? — pytał Kalle.

— To gałka z chleba, w środku zaś jest smola, dam ją małpie.

Oskar podszedł do małpy i podał jej wspomnianą gałkę. Zwierzę przyjęło, powąchało i rzuciło z taką siłą w twarz Oskarowi, że smola będąca w środku, rozprysła się po ubraniu obecnych widzów. Zawstydzony Oskar ratował się ucieczką, ku wesołości pozostałych.

Kiedy to wszystko miało miejsce, mały cygan wykonywał w dalszym ciągu łamane sztuki, ale ponieważ już przedtem pracował nad siły, padł teraz prawie bezprzytomny na ziemię. Na groźne spojrzenie starca i uszczypnięcie starej cyganki, spróbował podnieść się i począł na nowo przykrą swą pracę. Ale wyraźnem było, że dłużej wytrzymać nie może i przy słowach wypowiedzianych półgłosem:

— O Boże! zaprowadź mię do moich rodziców! upadł ponownie na ziemię i zemdlął.

Cyganie zanieśli natychmiast chłopca do swego namiotu pod miasteczkiem, a zewsząd wołano:

— Biedny malec! albo: Ten to nie ma wesołego życia i t. p.

Widzowie rozproszyli się, a nasi dwaj przyjaciele Kalle i Pelle szli obok siebie ulicą, zamyśleni. Nareszcie Kalle przerwał ciszę, mówiąc:

— Czy słyszałeś, Pelle, co on powiedział, mdlejąc?

— Tak, mówił, żeby go zaprowadzono do rodziców.

— Pomyśl Pelle, jeżeli ci cyganie ukradli go! Jeśli to nie ich syn!

*) Kale znaczy po szwedzku Karolek — Pele, Piotruś.

Pelle gwizdnął.

— Wiesz co, Kalle, przypominam sobie teraz jak do-
syć już dawno temu byłem z ojcem w cukierni i jak ojciec,
wyczytał w gazecie, że cyganie ukradli syna burmistrza.

— Czy być może!

— Najpewniej tak jest. Naznaczono nawet 500 ko-
ron temu, kto chłopca odprowadzi do rodziców.

— Ale tylko pomyśl. Czyżby śmieli? Toż pan
burmistrz nie byle kto..

— Zkądże mogli wiedzieć czym jest synem, bur-
mistrz jak wiesz, jest bardzo skąpy i ubierał syna bardzo
skromnie, tak, że na pańskie dziecko nie wyglądał.

— Hm... kto tam wie. Może ten biedak jest synem
burmistrza?

— Najpewniej tak jest.

— Wiesz co, najlepiej będzie, gdy udamy się do
domu i opowiemy o tem, że mały cygan jest synem bur-
mistrza.

— Tak, to będzie dobrze.

Przy tych słowach rozstali się obaj chłopcy i każdy
udał się do domu.

(d. n.)

ZAGADKA.

Od Gołąbki z nad Pilicy.

Zgadnij proszę, co być może,
Co w Warszawie znajdziesz snadnie,
Lecz napróżno w „Ziemi” całej
Szukać tego ci wypadnie.
I nie żarty to są płocze,
Choć rzecz wielce osobliwa,
Niema tego nigdy w wodzie
Ale w rzece znawsze bywa.

ARYTMOGRYF.

Marzycielka dla Nimfy leśnej.

- 4, 23, 13, 11, 5. Prowincya w Austrii.
13, 11, 3. Okres czasu.
10, 18, 24, 21, 5, 22, 1. Bohater z wojny Trojańskiej.
7, 11, 13, 9, 22, 8, 21, 10. Kraj w Europie.
1, 11, 3, 13, 10, 4, 22, 1. Mędrzec grecki.
9, 13, 11, 7, 10. Ptak u nas b. pospolity.
10, 13, 7, 11. Rzeka we Włoszech.
10, 6, 21, 1. Zwierzę czczone przez starożytnych.
5, 10, 6, 11, 7, 21, 10. Północna część Szwecyi.

Zastąpić liczby literami tak, aby początkowe litery złożo-
nych wyrazów, utworzyły nazwę kraju w Afryce.

ROZWIĄZANIA DO N-ru. 28-go.

Szarady: War — ka.

Zwycięstwo Czarnieckiego odniesione nad Szwedami za
Jana Kazimierza pod Warką r. 1656.

Metagramy: Malina — Halina — Kalina — Salina.

Łamigłówki w kwadracie:

J	a	g	o	d	a
K	o	r	a	l	e
N	a	r	c	y	z
B	e	n	d	e	r
B	o	c	i	a	n
M	o	d	l	i	n
Jordan.					



Skrzynka do listów.

Masz słuszość Srebrna Gwiazdko, że ciekawą jest rzeczą
poznanie stosunków i obyczajów chińskich. Żaden bowiem inny
naród nie przedstawia tyle odrębności, ile zdolali zachować Chiń-
czycy ze zdobytej w zamierzchłych jeszcze wiekach stosunkowo
dość wysokiej kultury. Sądzę też, że z wielkim zajęciem czytać
będziesz artykuły dotyczące Chin, które niezadługo w Wieczorach
drukowane będą.

Marylce Ż. w Zakopanem. Że cię Tatry pięknnością swą za-
chwycają nie dziwię się bynajmniej, bo nawet ci, którzy poznali
już najpiękniejsze widoki w świecie, mają jeszcze dla Tatr i Zako-
panego słowa podziwu. Rozumiem też z jaką przyjemnością ro-
bisz wycieczki do miejsc, z którymi tak znakomicie zapoznały cię
piękne opisy p. Z. Urbanowskiej w „Róży bez kolców.” A czy
znasz też legendę o księciu Giewoncie i księżniczce Gubałówce?
Jeżeli nie, to się dopytaj o nią.

Brak deszczu i gorąca tegoroczne, na które się skarżysz
Tadziu R., nietylko u nas dają się we znaki. Ze wszystkich kra-
jów Europy dochodzą takie same wieści i narzekania. W Hiszpa-
nii np. panują tak straszne upały, że Madryt, stolica kraju, wy-
gląda przez dzień cały jakby miasto umarłych, dopiero wieczorem
ruch ożywia się nieco, kto tylko bowiem mógł, opuścił mury, dą-
żąc już to za przykładem dworu panującego, na wybrzeża morskie,
już też w góry, w których upały mniej bywają dokuczliwe.

Niesłusznie sądzisz Młody Ornitologu, aby biały szpak,
którego zabito podobno w Anglii, był tylko wymyśloną bajką,
mimo, że ta biała sukienka jego należy rzeczywiście do nadzw-
yczajnych wyjątków w pstrym jego rodzie. Ale, jak stwierdzają
badania naukowe, przyroda miewa niekiedy kaprysy, w których
odstępkuje od stałych swych praw. Do takich osobliwości należą
właśnie białe szpaki rzadziej jeszcze spotykane nawet od białych
kretów, które nie są przecież wcale pospolite.

Przyjemną rzeczywiście rozrywkę wymyśliłaś sobie Zosiu B.
zbierając na spacerach wśród pól i łąk kłosa i wiechy traw, nada-
jąc się wdzięcznie do układania tak zwanych bukietów Ma-
kartowskich. A gdy zimą ozdobisz niemi swój pokój, staną ci
się milem przypomnieniem chwil obecnych.

List Snieżycy zdążyliśmy jeszcze doręczyć Jaskółce, której
serdeczne twe słowa, były bodaj ostatniem pożegnaniem przed wy-
jazdem z Warszawy. Więc w zamian przesyła ci życzenia przy-
jemnej zabawy.

Stasio z Pet. Słuszną w swej karcie uczynił uwagę. Po-
myłka, o której wspomina, nastąpiła wskutek nieuważnej zamiany
klisz, z których ryciny odbijają się w drukarni.

Łamigłówki i zagadki własnego układu oraz dobre rozwią-
zania nadesłali: Malina, Córa Mazurów Złote Słonko, Basia i Zo-
sia W., Stefanek, Czarny Rycerz, Jagienka i Strzelec.